— Transport idzie — rzekł któryś i wszyscy unieśli się w oczekiwaniu. Zza zakrętu wychodziły towarowe wagony (…)wewnątrz wagonów zaczęło się coś kotłować i dudnić w drewniane ściany. — Wody! Powietrza! — zerwały się głuche, rozpaczliwe okrzyki. Z okien wychylały się twarze ludzkie, usta chwytały rozpaczliwie powietrze. Zaczerpnąwszy kilka łyków powietrza ludzie z okien nikli, na ich miejsce wdzierali się inni i tak samo znikali.

(…) Człowiek w zielonym mundurze, ściągnął automat z ramienia, złożył się i przeciągnął serią po wagonach. Ucichło. Tymczasem podjeżdżały ciężarówki…

Niezmiernie zbici, przytłoczeni potworną ilością bagażu, waliz, walizek, walizeczek, plecaków, tłumoków wszelkiego rodzaju (wieźli bowiem to wszystko, co stanowiło ich dawne życie, a miało rozpocząć przyszłe), gnieździli się w strasznej ciasnocie, mdleli od upału, dusili się i dusili innych. Teraz skupili się przy otwartych drzwiach, dysząc jak ryby wyrzucone na piasek.

Wylewa się z wagonu różnobarwna fala, objuczona, podobna do ogłupiałej, ślepej rzeki, która szuka nowego koryta. Ale zanim oprzytomnieją, uderzeni świeżym powietrzem i zapachem zieleni, już im pakunki wyrywa się z rąk, ściąga się palta, kobietom wyrywa się torebki, odbiera parasole. Rośnie kupa rzeczy, walizek, tłumoków, plecaków, pledów, ubrań, torebek, które, padając, otwierają się i wysypują barwne tęczowe banknoty, złoto, zegarki; przed drzwiami wagonów piętrzą się stosy chleba, gromadzą słoiki różnobarwnych marmolad, powideł, pęcznieją zwały szynek, kiełbasy, rozsypuje się po żwirze cukier. Zapchane ludźmi auta odjeżdżają z piekielnym warkotem, wśród zawodzenia i wrzasku kobiet opłakujących dzieci, i ogłupiałego milczenia nagle osamotnionych mężczyzn.

To ci, co poszli na prawo — młodzi i zdrowi — ci pójdą na lager. Gaz ich nie minie, ale wpierw będą pracować.

Ci (…) oddzielają tych do gazu od tych, co idą na lager, wypychają pierwszych na schody, ubijają na aucie, na każde sześćdziesięciu, tak plus-minus.

Już się opróżniły wagony. Chudy, ospowaty esman spokojnie zagląda do środka, kiwa głową z niesmakiem (…) i wskazuje wnętrze. — Rein. Oczyścić!

Porozrzucane po kątach wśród kału ludzkiego i pogubionych zegarków leżą poduszone, podeptane niemowlęta, nagie potworki o ogromnych głowach i wydętych brzuchach. Wynosi się je jak kurczaki, trzymając po parę w jednej garści. — Nie nieś ich na auto. Oddaj kobietom — mówi zapalając papierosa esman. Zapalniczka mu się zacięła, jest nią bardzo zaaferowany. — Bierzcie te niemowlęta, na litość boską — wybucham, bo kobiety z przerażeniem uciekają ode mnie, wtulając głowy w ramiona. Dziwnie niepotrzebnie pada imię Boga, bo kobiety z dziećmi idą na auto, wszystkie, nie ma wyjątku. Wiemy wszyscy dobrze, co to znaczy, i patrzymy na siebie z nienawiścią i przerażeniem. — Co, brać nie chcecie? — powiedział jakby ze zdziwieniem i wyrzutem ospowaty esman i począł odpinać rewolwer. — Nie trzeba strzelać, ja wezmę. Siwa, wysoka pani wzięła ode mnie niemowlęta i przez chwilę patrzyła mi prosto w oczy. — Dziecko, dziecko — szepnęła uśmiechając się. Odeszła, potykając się na żwirze. (…)

Idą, przemijają. Mężczyźni, kobiety, dzieci. (…) Oto idzie szybko kobieta, śpieszy się nieznacznie, ale gorączkowo. Małe, kilkuletnie dziecko o zarumienionej, pyzatej twarzy cherubin-ka biegnie za nią, nie może nadążyć, wyciąga rączki z płaczem: — Mamo, mamo! — Kobieto, weźże to dziecko na ręce! — Panie, panie, to nie moje dziecko, to nie moje! — krzyczy histerycznie kobieta i ucieka, zakrywając rękoma twarz. Chce skryć się, chce zdążyć między tamte, które nie pojadą autem, które pójdą pieszo, które będą żyć. Jest młoda, zdrowa, ładna, chce żyć. Ale dziecko biegnie za nią, skarżąc się na cały głos: — Mamo, mamo, nie uciekaj! — To nie moje, nie moje, nie!... Aż dopadł ją Andrej, marynarz z Sewastopola. Oczy miał mętne od wódki i upału. Dopadł ją, zbił z nóg jednym zamaszystym uderzeniem ramienia, padającą chwycił za włosy i dźwignął z powrotem do góry. Twarz miał wykrzywioną wściekłością: — Ach, ty, jebit twoju mat’, blad jewrejskaja! To ty od swego dziecka uciekasz! Ja tobi dam, ty kurwo! — Chwycił ją wpół, zadławił łapą gardło, które chciało krzyczeć, i wrzucił ją z rozmachem jak ciężki wór zboża na auto. — Masz! Weź i to sobie! Suko! — i cisnął jej dziecko pod nogi. — Gut gemacht, tak należy karać wyrodne matki — rzekł esman stojący przy samochodzie. — Gut, gut Ruski.

(…)Raptem spośród tej całej fali ludzkiej, która parła ślepo w stronę aut jak rzeka pchana niewidzialną siłą, wynurzyła się dziewczyna, zeskoczyła lekko z wagonu na żwir i spojrzała dokoła badawczym okiem, jak człowiek, który czemuś bardzo się dziwi. Bujne jasne włosy rozsypały się miękką falą na ramiona, strząsnęła je niecierpliwie. Przesunęła odruchowo rękoma po bluzeczce, poprawiła nieznacznie spódniczkę. Stała tak chwilę. Wreszcie oderwała wzrok od tłumu i przesunęła spojrzeniem po naszych twarzach, jakby kogoś szukając. Nieświadomie szukałem jej wzroku, oczy nasze spotkały się. — Słuchaj, słuchaj, powiedz, dokąd oni nas powiozą? Patrzyłem na nią. Oto stoi przede mną dziewczyna o cudnych, jasnych włosach, o ślicznych piersiach, w batystowej letniej bluzeczce, o mądrym, dojrzałym spojrzeniu. Stoi, patrzy mi prosto w twarz i czeka. Oto komora gazowa: wspólna śmierć, ohydna i obrzydliwa. Oto obóz: z ogoloną głową, watowane sowieckie spodnie na upał, wstrętny, mdły zapach brudnego, rozparzonego ciała kobiecego, zwierzęcy głód, nieludzka praca i ta sama komora, tylko śmierć jeszcze ohydniejsza, jeszcze obrzydliwsza, jeszcze straszniejsza. Kto raz tu wszedł, nie wróci do tamtego życia. „Po cóż ona to przywiozła, przecież i tak jej zabiorą” — pomyślałem mimo woli, dostrzegłszy na przegubie ręki śliczny zegarek 0 drobniutkiej złotej bransoletce.— Słuchaj, odpowiedz. Milczałem. Zacisnęła usta. — Już wiem — rzekła z odcieniem pańskiej pogardy w głosie, odrzucając w tył głowę; śmiało poszła w stronę samochodów. Ktoś ją chciał zatrzymać, odsunęła go śmiało na bok i wbiegła po schodkach na wypełnione już prawie auto. Zobaczyłem tylko z daleka bujne jasne włosy, rozwiane w pędzie.

(…)Oto para ludzi padła na ziemię, spleciona rozpaczliwym uściskiem. On wbił kurczowo palce w jej ciało, zębami chwycił za ubranie. Ona krzyczy histerycznie, przeklina, bluźni, aż przyduszona butem rzęzi i milknie. Rozszczepiają ich jak drzewo i wpędzają jak zwierzęta na auto.

(…) Z całej rampy znosi się trupy wielkie, nabrzmiałe, opuchnięte. Między nie ciska się kaleki, sparaliżowanych, przyduszonych, nieprzytomnych. Góra trupów kotłuje się, skowycze, wyje. (…) niosą dziewczynkę bez nogi; trzymają ją za ręce i za tę jedną, pozostałą nogę. Łzy ciekną jej po twarzy, szepce żałośnie: „Panowie, to boli, boli...” Ciskają ją na auto między trupy. Spali się żywcem wraz z nimi.(…) jakaś dziewczynka wychyliła się do pół ciała z okienka wagonu i straciwszy równowagę upadła na żwir. Chwilę leżała ogłuszona, wreszcie podniosła się i zaczyna chodzić w kółko, coraz prędzej i prędzej, sztywno wymachując rękoma jak na gimnastyce, łapiąc głośno powietrze i wyjąc monotonnie, piskliwie. Dusząc się — dostała obłędu. Działa na nerwy, więc podbiegł do niej esman, okutym butem kopnął w plecy: upadła. Przydeptał ją nogą, wyjął rewolwer, strzelił raz i drugi: została, kopiąc nogami ziemię, aż znieruchomiała.